Gruszecki. Z Kaczkowski.

DODATEK MIESIĘCZNY

(ilustrowany)

do czasopisma

PRZEGLĄD TYGODNIOWY

życia społecznego, literatury i sztuk pięknych,

pod redakcyą

ADAMA WIŚLICKIEGO.

PÓŁROCZE DRUGIE.
1896.

WARSZAWA.
Wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego".

1896.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Декабря 1896 года

W drukarni Przeglądu Tygodniowego, Czysta № 4.

ZYGMUNT KACZKOWSKI

przez

Artura Gruszeckiego.

Pomiędzy miasteczkiem Lisko a Sanokiem w głębokiem Podgórzu karpackiem leży wieś Bereźnica, w której urodził się 1826 r. powieściopisarz Zygmunt Kaczkowski herbu Pomian.

Wieś, jak zwykle na Podgórzu, rozrośnięta wzdłuż nad dopływem Sanu, z chatami przytulonemi do pagórków, z cerkiewką blisko dworu, jest zwykłą, ubogą wsią karpacką, o której bez przenośni można powiedzieć to co pan Błoński („Gniazdo Nieczujów", str. 104) [1]) mówi o całej Sanocczyźnie: „Na ziemi ubogiej i za najprzedniejszy specyał tylko lichy owies rodzącej, na ziemi niebogatej ani w złoto, ani w srebro, ani jakiekolwiek klejnoty i znać tylko sercami i animuszem *suorum civium* skromnie się z innemi *comparare* mogącej..." I zaledwie na małych łanach pod osłoną gór od północy, ze spadem ku południowi rodzi się jako tako pszenica a owoce delikatniejsze nie udają się tam zupełnie. Lecz jeśli pod względem bogactwa gruntu i płynącej ztąd zamożności ziemiańskiej, to głębsze Podgórze z rodzajnemi dolinami nie może się równać, to znów pod względem malowniczości przewyższa krajobrazy równin. Jaką jest owa ziemia Sanocka a przynajmniej jak ją widział Kaczkowski, wyjaśni cytata z jego powieści „Dziwożona" (str. 382), która zarazem da charakterystykę sposobu opisowości autora: „I zaraz roztoczył się przed nim widok wielki, wspaniały, zdający się nie mieć nigdzie początku, ni końca. Więc najodleglejszy kres ziemi szarzał tylko jak długie pasmo niebieskiej chmury, która zlewała się z nieba. Na niej rysowały się jakieś cienie, to szerokie, to wzniosłe, zmieniające się ciągle i przybierające raz kształty mogił wysokich, inny raz wielkich budowli, to kościołów; a wszystko to było tak niewyraźne, że nie można było poznać dokładnie, czy te cienie są to chmury przesuwające się po nad ziemią i łudzące wzrok swemi zmiennemi w szybkiej podróży kształtami. Ztamtąd bliżej ku górom rozpłynęła się ziemia w długą i szeroką

---

[1]) Stronnice odnoszą się do warszawskiego wydania „Dzieł Kaczkowskiego" J. Ungra z 1874 r.



płaszczyznę. Na niej już wyraźnie widać było rozciągające się swobodnie wioski, skupione na pagórkach miasteczka, podnoszące się wysoko nad niemi kościoły a pomiędzy to wszystko owe łany długie, szerokie, kołyszące się srebrnem żytem i złotą pszenicą, rozległe łąki świecące tu i owdzie okrągłemi stojących wód źwierciadłami i dłużone pastwiska, gładkie jak strzyżone kobierce, bramowane po brzegach stojącemi szeregiem wierzbami lub olszyną krzaczystą. Środkiem tej krzyczącej do słońca swemi bogactwami krainy płynęła rzeka wspaniała, chłonąc w swojej leniwej podróży bystro z tej lub owej strony wpadające strumienie i wyglądając przytem jak drzewo niebieskie, odrysowane ze wszystkiemi swojemi konarami na ziemi. Ztamtąd znów bliżej poczęła się ziemia kłębić i garbić, zrazu w nizkie, okrągłe, potem w coraz wyższe i stromsze pagórki i góry. Patrząc na nie zdaleka, zdawało się widzieć morze wśród wyjących orkanów i miotającej się burzy, w chwili najsroższej wściekłości wszechmocną ręką powstrzymane i tak zastygnięte. Na tych górach szumiały lasy wspaniałe, woniejące balsamem roślinnego żywota, więc zielone dębów stuletnich gromady, gęsto ściśnione buki, posępne jodły, jeżące się na stromych grzbietach gór i zwieszające się nad przepaściami. Z pomiędzy tych lasów wyglądały tu i owdzie ponure skały, świecące tam nagiemi bokami, tu wieńcząc głowy swoje mchem i karłowatą krzewiną, gdzieindziej straszne otwierając paszczęki jak przedpotopowe smoki skamieniałe tam przed wiekami. Gdzieniegdzie z pomiędzy lasów wysuwa się nagi grzbiet góry, okryty tylko bujnemi trawiskami i karłowatemi krzewami. Lecz za to niżej bujna roślinność jak pod zwrotnikiem; przez trawy tam wąż się nie prześliźnie, przerastają łozinę sitowia, ścielą się po ziemi olbrzymie tarcze łopuchów a tajemnicze paprocie sięgają drzew liściastemi kitami. Z pod gęstych sitowiów wysączają się małe strumyki, lecz rosną prędko, co każdą stajań w dwójnasób a tuż niedaleko już nad ich brzegami śmieją się strzechy dymne łańcuchami, i tutaj wiszą nad spadzistością góry, tam się zbiegają w gromady a między niemi w jednem miejscu bieleje dworek, w innem szarzeje baniasta z dzwonicą cerkiew, tam chatka leśnika pod lasem, tu wiejski cmentarzyk cichy i spokojny jak dziecko śpiące w kołysce“.

Dekoracyjny ten sposób opisywania szerokich widoków roztaczających się z gór, stanowi właściwość Kaczkowskiego i w nim on celuje: gdy jednak z toku powieści ma opisać ogród, lasek, mały widoczek, dom mieszkalny lub wnętrzne pokoju, zadawalnia się kilku utartemi frazesami bez malowniczości, lub wpada w rozkiełznaną romantyczność skał, krużganków średniowiecznych, balkonów, wież, wieżyczek, lochów podziemnych, etc. np. dwór generała w „Dziwożonie“, dwór Mirona i Aspisa w powieści „Bajronista“, i t. p. Być może, iż przebywanie autora wśród gór Karpackich z małemi przerwami do dwudziestego roku życia, usposobiło i oko i umysł do przyjęcia i upodobania dekoracyjności w opisach natury.

Sanockie zamieszkują chłopi rusini, którzy, dzięki bliskości gór, granicy węgierskiej, oraz twardym hartującym ciało i umysł warunkom bytu codziennego zażywali nawet w czasach pańszczyźnianych większej swobody, aniżeli chłopi równin. Góry były pewnem schronieniem, żywności dostarczały owce pasące się po szczytach i gęsta zwierzyna, soli źródła obfitujące w sól, tytoniu (bakunu) blizkie Węgry a pieniędzy i nasycenia zemsty—rozbójnictwo. Wśród gór, odcięci od świata i cywilizacyi bardzo pierwotnemi drogami, zostawieni i zmuszeni do liczenia na własne siły, tworzą oni niemal po dziś dzień pewną odrębną grupę, do której zwolna wdzierają się nowe prądy, nowe reformy, nowe myśli, i jeśli wogóle pracownicy na roli należą z usposobienia do konserwatystów, to cecha ta przejawia się jaskrawo w góralach, w ich zabobonach, zwyczajach i obyczajach, w ostrożnem i podejrzliwem przyjmowaniu wszelkiej nowości.

Te same warunki kraju, otoczenia, komunikacyi, zamożności musiały z konieczności wpłynąć na charakter, temperament i odrębność większych właścicieli, szlachty, w stosunku do ich współbraci z równin.

Po zajęciu Galicyi przez Austryę, zamknięci w swej klatce z gór, gdy nie było gdzie i po co wyjeżdżać, gdy ustały sejmiki i konieczność zjazdów wspólnych, utonęli w historycznych wspomnieniach i w tradycyach rodowych a geograficzne położenie nietylko dozwalało, ale sprzyjało bujnemu rozkwitowi szlacheckości i wyodrębnienia siebie, uprzywilejowanych, od chłopów i mieszczan. Z przeszłości historycznej musiała najsilniej i najtrwalej przyjąć się i zakorzenić konfederacya, ostatni szczeroszlachecki wybuch w obronie swobód szlacheckich. Blizkość teatru wojny i tuż idące zajęcie Galicyi przez państwo Austryackie—musiało ozdobić aureolą i legendą veto współczesnej polityki. A właśnie rodzony dziad Zygmunta Kaczkowskiego należał do owych uwielbianych współuczestników i nie mając ni chęci, ni możności wrócenia do zniszczonych i zastawionych dóbr wołyńskich, osiada wśród sanoczan, swych współtowarzyszów w 1770 r. Otoczenie więc geograficzno-etnograficzne i atmosfera rodowa, reprezentowana wymownie przez babkę żyjącą do 1853 r., wpływały na Zygmunta w kierunku szlacheckości zdecydowanej, niedopuszczającej niemal wyjątków i uwielbienia bezwarunkowego ostatniego stulecia, ale tylko w przedstawicielach szlachty średniej zamożności.

Jednak nietylko to najbliższe otoczenie rodzinne i sąsiedzkie urabiało przekonania Zygmunta; oddziaływała na niego również cała atmosfera ówczesnej Galicyi. Rząd austryacki nie dowierzał ówczesnej szlachcie, cała administracya, przeważna większość sądownictwa była w ręku germanizatorów a stan ten tylko się znacznie pogorszył. Szlachta odsunięta od wszelkich wpływów i życia publicznego, tem usilniej przechowywała swe pamiątki i tradycye, tem bardziej zasklepiała się w swej skorupie herbowej, tem jaskrawiej zaznaczała swą odrębność a z dusznej icię̇żkiej teraźniejszości uciekała jedynie w krainę marzeń przeszłości.

Świat szedł jednak swoją drogą a idea demokratyczna, duszona i nękana przez Metternicha, nie gasła, lecz tylko pokrywała się popiołem i szerzyła zarzewie pożaru, który objął Austryę.

Oddziaływano na młodzież kształcącą się we Lwowie, a wówczas w 1845 r. i poprzednich bywał częstym gościem w stolicy Zygmunt Kaczkowski, bezsprzecznie najdzielniejszy i najświetniejszy umysł ziemi Sanockiej. Na razie uległ do pewnego stopnia temu ruchowi demokratycznemu i brał w nim czynny udział, agitując wśród szlachty w Tarnowskiem i Krakowskiem. Na początku 1846 r. znalazł się w domu ojca w Bereźnicy, i tu we własnym dworze napadli na obu chłopi, związanych odstawili do Sanoka, zkąd ich jako niebezpiecznych wichrzycieli wysłano do Lwowa i skazano ojca na lat dwadzieścia fortecy a syna na szubienicę. Nim jednak sprawa przeszła przez wszystkie instancye nastąpił r. 1848 a z nim amnestya dla skompromitowanych w wypadkach 1846 roku. Kaczkowscy po dwuletniem więzieniu odzyskali wolność. To nagłe i brutalne przebudzenie ze snów demokratyzmu przez napad chłopów — spowodowało nietylko usunięcie się Zygmunta od wszelkich robót demokratycznych, ale nakłoniło go do piętnowania demokratów w swych powieściach jako ludzi nieuczciwych, przewrotnych, a w każdym razie szkodliwych i rzucił się z całym zapałem i bez zastrzeżeń w objęcia idei szlacheckiej i jej tradycyi.

Najlepiej przygotowanym, tak przez życie rodzinne i sąsiedzkie jak i przez zamiłowanie oraz przygodne studya historyczne był Kaczkowski do kreślenia obrazków z życia szlachty, względnie sanoczan, z końca XVIII wieku. Nietylko tradycya owych czasów była żywa, ale żyli jeszcze typowi przedstawiciele tej wyłączności sanockiej. Jeszcze w 1867 r zwolennik uchwał sejmu czteroletniego uchodził w oczach szlachty sanockiej za radykała... dość było sięgnąć do opowiadań rodowych, aby odżyły minione czasy.

Obdarzony talentem plastycznego i żywego opowiadania, kręcąc się ciągle w ukochanej przez siebie atmosferze szlacheckiej, Kaczkowski w tych obrazkach prywatnego życia szlachty z XVIII wieku osiągnął najwyższy rozkwit swego talentu pod względem artystycznym. Szlachta z „Bitwy o Chorążankę“, z cyklu powieści „Ostatni z Nieczujów“ naprawdę żyje, mówi, rusza się, pije, kocha się i bierze na szable! U niego ci ludzie nie są maskaradowi, nie są to dzisiejsi poprzebierani w zbutwiałe kontusze i karabele, on tych ludzi znał, widział, żył z nimi i dość mu było przenieść ich w inną blizką im epokę, aby stworzyć obraz łudząco prawdziwy. To też o ile często bohaterowie główni, jak np. Murdelio szwankują na psychologicznem i faktycznem prawdopodobieństwie, figury poboczne są wykończone i prawdziwe, gdyż były brane bezpośrednio z otoczenia sanockiego.

Różnica pomiędzy tworzeniem powieści z żywych wzorów a fantazyjnych występuje jaskrawo i to na niekorzyść autora, im opowieść jego

sięga dalszych czasów i zamierza objaśnić jego historyczne poglądy. W powieściach: „Bracia ślubni“, „Starosta Hołobucki“, „Sodalis Marianus“, „Abraham Kitaj“ powtarzają się znane postacie z opowiadań Nieczui, pod innemi nazwiskami, w innem otoczeniu a dydaktyzm bierze górę nad logicznem rozwiązaniem. To już nie jest jasny, przejrzysty obraz życia, ale natłoczenie figur, ich wyjątkowe zdolności i nadzwyczajne wypadki; rozmyślne kładzenie świetlnych barw na średnią szlachtę a grubych cieni na „panów“, na „oligarchię“ i bezwzględne potępienie francuzczyzny („Kasztelanice Lubaczewscy“, „Bracia ślubni“, „Starosta Hołobucki“).

Ten wstręt do cudzoziemczyzny wyrasta u Kaczkowskiego na pokładzie głębokiej religijności złączonej z czcią dla księży, którzy w jego powieściach jaśnieją wszystkiemi cnotami, rozumem i szlachetnością. Tę zasadę religijności w związku z praktyką religijną, odmawianiem pacierzy, spowiedzią, postami przeprowadza konsekwentnie nietylko w powieściach historycznych, ale i w współczesnych. Dla wszystkich swych bohaterów powieściowych, gdy chce ich ratować z toni niepowodzeń i rozczarowań, posiada Kaczkowski w swej domowej, szlacheckiej apteczce jeden i jedyny środek nieomylny, to jest religię. Nawrócenia jego urojonych niedowiarków odbywają się znacznie szybciej i cudowniej aniżeli nawrócenie Szawła, np. Mikołaj Niemira po bitwie; Edmund (mąż Dziwożony) po uczonej rozmowie z niezbyt wykształconą Hanią. Nawet jeśli autor, co mu się dwa razy zdarza (w „Bajroniście“ Stefana, w „Rozbitku“ Skibę) ulituje się nad potępieniem demokratów, to jedyną drogę do cnoty i nieba znajduje w religii i w pożyciu ze szlachtą starego herbu.

Powieści te historyczne miały nadzwyczajne powodzenie, były rozchwytywane, czytane, komentowane i krytykowane dodatnio przez wszystkie ówczesne powagi literackie jak: Michał Grabowski, J. I. Kraszewski, J. Korzeniowski, Zenon Fisz, A. Marcinkowski, L. Kondratowicz, K. Szajnocha, A. Tyszyński, L. Siemieński i wielu innych. Nie było domu polskiego w Galicyi, zajmującego się czytaniem, aby w nim tej lub owej powieści historycznej Kaczkowskiego nie posiadano i nią się nie cieszono jak skarbem. Oprócz czynników wspomnianych w tymże artykule przy szlachcie sanockiej oddziaływał tu i wielki talent autora, który tak żywo, tak barwnie, z taką siłą i werwą wprowadzał na scenę szlachtę polską w wolnej Rzeczypospolitej. Wśród gwałtownej i bezwzględnej germanizacyi autor opowiadał o dawnych, dobrych czasach...

Kaczkowski, w stosunku do dzisiejszych historycznych powieściopisarzy, posiada ogromną przewagę nad nimi wszystkimi i on jest może ostatnim w tej dobie literackiej prawdziwym, szczerym pod względem formy i treści historycznym powieściopisarzem. Urodził się bowiem dość późno, aby nie był pochwycony ruchem rozpędowym XVIII wieku, aby uniknął bezpośredniego udziału w życiu minionego stulecia, ale urodził

się dość wcześnie, aby okiem młodzieńca oglądać, osobiście się przysłuchiwać i fizycznie odczuwać owe niedobitki minionej epoki, które w jego oczach zwolna kładły się do grobu. Będąc talentem na wskroś realistycznym, umysłem, jak sam się chlubi, bardzo trzeźwym i rozważnym, do utworzenia dobrej powieści musiał sam obserwować, badać, odczuwać. Obracając się w kole owych średniej zamożności szlachciców, owych *bene nati et possessionati*, z nich czerpiąc swe wzory, mógł tylko to ich życie prywatne, ich zatargi, zajazdy, burdy i pijatyki, ciche domowe cnoty, bogobojność, poświęcenia w rodzinie i w przyjaźni, ich śluby, wesela, obawy i radości opisać wiernie i oddać artystycznie. I pierwsze powieści historyczne, które mu zapewniły sławę i wziętość, odtwarzają znakomicie to życie prywatne, co najwyżej z lekkiem zabarwieniem interesów prowincyonalnych.

Lecz i on sam i współcześni po za prawdą i artyzmem doszukiwali się idei przewodniej, powieść miała nietylko zadawalniać estetyczne potrzeby, ale i dydaktyczne.

Kaczkowski sam tak określa zadanie powieści historycznej: „Wywołanie i wskrzeszenie za pomocą jednego obrazu pewnej myśli dziejowej w jej związku z ruchem dziejowym, nie jest już dziełem misterstwa sztuki, tylko utworem poetyckiego gieniuszu, którego moc twórcza, tajemnicza dotychczas dla filozofów a często i dla samego poety, kilkoma pociągami pióra umie otwierać przed nami najodleglejsze widoki w krainie ducha. Zapewne, że niekażdemu jest dane, kto wziął pióro lub pędzel do ręki, objąć całą ideę dziejową i ożywić jej duchem obraz przedstawionej epoki; ale zawsze mamy prawo wymagać, abyśmy widzieli przynajmniej usiłowanie, ażebyśmy przynajmniej spostrzegli zrozumienie najwyższej dla historycznego powieściopisarstwa zasady — a zasadą tą jest: iż właściwem zadaniem historycznego poety nie jest to, ażeby tę lub ową dziejową chwilę w jej odosobnieniu wiernie odtworzył, ale przeciwnie, aby przedstawił, jak duch dziejowy, jak gieniusz narodu się w danej epoce wyraził. Jednem słowem: dziejowa myśl powinna być celem a epoka środkiem, a nie odwrotnie. Takie pojęcie zadania poety, pracującego na polu historyi, jest bezwątpienia nowszych czasów nabytkiem. Nie znano go jeszcze w epoce rozkwitu poezyi niemieckiej, kiedy nawet sam Goethe zrozumiał: „że czasy przeszłe są księgą zamkniętą siedmią pieczęci a to, co poeci nazywają duchem czasu, jest w gruncie rzeczy tylko własnym ich duchem, w którym odzwierciadlają się czasy“. Wiek dziewiętnasty pozrywał te pieczęcie i ducha dziejów tak dobrze odsłonił, jak archeologowie powygrzebywali guziki i sprzączki najdawniejszych kaftanów rycerskich. Dzisiaj też słusznie wymaga się od powieściopisarzy historycznych odtworzenia przedewszystkiem ducha dziejów a obraną przez wiek epokę uważa się tylko jako miejsce i środek, w którym i za pomocą którego ten duch ma się wyobrazić przed nami. Przed laty

trzydziestu pojęcia te znajdowały się jeszcze zaledwie w stanie przeczucia, lecz dzisiaj stały się już własnością umiejętnej krytyki u wszystkich oświeconych narodów: dowiedlibyśmy zatem tylko, iż nie dotrzymujemy kroku postępowi oświaty ogólnej, gdybyśmy ich nie uczynili także naszą własnością".

W pierwszych powieściach ów wymagany duch dziejów jest na dalszym planie; autor, stojąc na gruncie artystycznego odtwarzania, wszystkie zalety i wady traktuje równomiernie, nie zabarwia życia swych osobistości dziejowem posłannictwem, nie używa jasnych farb dla uwydatnienia tendencyi — dopiero w następnych powieściach sili się, z ujmą dla artyzmu, wtłoczyć w to szlacheckie życie ideę historyczną. Jego ukochani bohaterowie widzą i odczuwają całą lichotę, przedajność, ambicyę nizką i osobistą, niezmierną dumę panów-oligarchów; dwór Stanisława Augusta jest dla nich stekiem grzechów Sodomy i Gomory, on rozprzestrzenia przeklętą i wstrętną francuzczyznę, on czynnie pomaga do rozstroju i upadku Rzeczypospolitej. A wśród tego zepsucia zasad, obyczajów, obywatelskich uczuć—jaśnieją dopiero wszelkie możliwe cnoty szlachty średniej zamożności. Przywiązana ślepo do wiary katolickiej, do obyczajów i zwyczajów przodków, do kontuszów i uległości starszym, zyskuje w nagrodę od autora szczęście, spokój i sławę w swej ziemi czy po wiecie. O tej tendencyi swych historycznych powieści, pisze sam Kaczkowski: „Równe nieporozumienie zaszło między mną a moimi krytykami, zwłaszcza demokratycznymi, którzy z powodu moich pierwszych powiastek szlacheckich obwinili mnie o apoteozowanie szlachty. Zarzutu tego można się jeszcze dzisiaj doczytać we wszystkich encyklopedyach i historyach literatury. Ja nie wiem, bo sąd o tem nie do mnie należy, ale być może, że nakładając rozmyślnie jaskrawe barwy na moje figury, niezawsze umiałem zachować miarę. Być może także, iż mi się to samo zdarzyło, co Mickiewiczowi z „Panem Tadeuszem". W „Tadeuszu" cała szlachta zaściankowa są to karykatury, ale krytyka i publiczność wzięła te karykatury za typy i ma je za takie do dziś dnia. W moich pierwszych powiastkach jest mnóstwo karykatur, ale publiczność wzięła je za typy, a nawet większe w nich znalazła upodobanie, niżeli w rzeczywistych typach i charakterach.

W tem nieporozumieniu leży zapewne główny powód, dlaczego w ogóle w moich powieściach historycznych nie dogrzebano się jeszcze dotychczas ich właściwej tendencyi. A przecież ta tendencya, mojem zdaniem, leży tam, jak na dłoni. Jakoż Henryk Rzewuski w 1853, a przeto w czasie, kiedy zaledwie połowa tych powieści istniała, zaraz się jej domacał, bo kiedym go w tym roku poznał w Krakowie, zaraz w pierwszej poważnej rozmowie ze mną powiedział mi mniej więcej te słowa „Pana uważają za mego syna chrzestnego, ale ja nie przyznaję się do tego ojcowstwa. Ci ludzie nie rozumieją tego, co czytają. Pan jesteś

moim antypodem w powieści historycznej. Pan arystokracyi nie ufasz, lud jako martwą bryłę całkiem pomijasz, a wierzysz tylko w szlachtę którą chcesz podnieść, rozgrzać, ożywić i zrobić z niej samoistny stan trzeci, który zastąpił u nas i burżuazyę i demokracyę. Ale to próżne usiłowanie: szlachta nie była u nas nigdy ciałem samoistnem i nigdy niem nie będzie, nawet wtedy, gdyby się według recepty Mochnackiego, który chciał kraj wybrukować herbami, całkiem zdemokratyzowała i otworzyła mieszczanom i chłopom jak najszerszy przystęp do siebie". To samo mniej więcej powiedział mi w r. 1855 Zygmunt Krasiński, tylko dodał jeszcze do tego te słowa: „Szlachta jest, jak mgławice, ciałem bez brzegów, z jednej strony rozpływa się w arystokracyi, z drugiej w demokracyi: własnego jądra w niej niema i nigdy nie będzie". Idea zamienienia szlachty w stan trzeci, demokratyzujący się ustawicznie i wsiąkający w siebie wszystkie żywioły czynne, była może płonną, ale nie idzie za tem, by ta idea nie była zdrową i jeszcze dziś nie może powiedzieć nikt na pewno, że chociaż może z odmiennego punktu wyjścia i w odmiennych formach, nie utworzy się u nas stan trzeci, którego główną podstawą będzie to, co nazywamy szlachtą, to jest właściciele średnich majątków ziemskich i należącą do niej inteligencyę". (List Zygmunta Kaczkowskiego w „Kuryerze warszawskim" Nr 257 z r. b.).

Czy Kaczkowski apoteozował szlachtę?

Na to pytanie, czytając jego pierwsze powieści historyczne, można odpowiedzieć tylko przecząco. Oddawał on ich takimi, jak ich widział i zaobserwował. Dobrze odżywieni, z ciałem zdrowem i silnem, rozwiniętem kosztem mózgu; z tradycyjnem poczuciem honoru kastowego i herbowego; dobrzy do wybitki, lepsi do wypitki, utrzymujący porządek gospodarski i posłuch służby bizunem; bez cienia współczucia i uznania dla bydła roboczego, dla chłopów; z formalną religijnością w głowie, zastępującą im poezyę, samokrytykę i naukę; ulegający popędom ciała z jedynym hamulcem późniejszej religijnej pokuty — takich ludzi w żadnym razie do apoteozowanych ideałów zaliczyć nie można, chyba że ktoś chce „Soplicę", „Benedykta Winnickiego", i t. p. szlachtę uważać za kwiaty ludzkości!...

Kobiety w powieściach historycznych Kaczkowskiego, z wyjątkiem „Annunciaty", odgrywają rolę bierną i dzielą się na dwie grupy. Pierwszą grupę stanowią starsze, sfrancuziałe, plotą drobne, małe intrygi, zazwyczaj przecięte dzielnością i prawdziwością mężczyzn, a drugą grupę bierne, piękne, cnotliwe szlachcianeczki „powietrzne, woniejącemi kwiatami ubarwione sny i marzenia o wiośnie, serce pełne ognia i pragnienia rozkoszy w lecie, uczucia matki i rozsądna troskliwość w jesieni a powaga uwieńczona modlitwą w zimie tego ziemskiego życia, to jest ideał kobiety. I więcej jej nic nie zostało — więcej też żadnej nie trzeba". („Bracia ślubni", str. 30). One to przypadają w nagrodę odważnym

i silnym młodzieńcom i z tej drugiej grupy rekrutują się ciche, święte, pokorne żony i matki.

* * *

Lecz po za tą epoką XVIII w. odciętą Wielką rewolucyą i Napoleonem I., rozwijało się i współczesne życie. Ogłoszone niegdyś „prawa człowieka“ zostały w bieżącym wieku wprawdzie przekształcone, zmienione, uzupełnione, ale istniały i przedzierały się w głąb ludzkości, mimo silnych i przemożnych zapór przywilejów. Marzenia o Ikaryi, o powszechnem szczęściu i spokoju, z nieodzownem podniesieniu upośledzonych, z koniecznem odrzuceniem wszelkich przywilejów, przymusowem zwalczeniem i uprzątnięciem opornych—elektryzowały ówczesną Europę. O tych prądach, reprezentowanych przez Blanca i Proudhona, Micheleta i Quineta, Kaczkowski nietylko wiedział, ale był nawet ich zwolennikiem, gorącym wyznawcą i agitatorem, jak świadczy Korotyński Wincenty: „Zygmunt Kaczkowski w rzędzie ruchliwych umysłów nie należał do ostatnich. Znano go z tej strony we Lwowie, znano w Tarnowskiem i Krakowskiem, w domu Wiesiołowskich, Tyssowskiego, Rejów, w towarzystwie Dembowskiego, Goslara, Gorzkowskiego i innych“.

A teraz, podstawiając bez wszelkiej ironii słowo człowiek, w miejsce poety, można zacytować wiersz: „*Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen*“. Ten szlachcic *bene natus et possessio natus*, ten patrymonialny pan, uprzywilejowana jednostka, nie raczył nawet spojrzeć na niziny, na których bydło robocze i gorszy od niego chłop pańszczyźniany pracował z wytężeniem, popędzany nahajką sług pańskich. A ten chłop, który miał być środkiem odzyskania pełni przywilejów szlacheckich i sam otrzymać dobrą myśliwską „odprawę“, ten chłop śmiał aresztować pana, szlachcica herbowego, dziedzica, obywatela, przesiąkniętego i przepojonego swem szlachectwem od dwustu lat! Wobec tej zbrodni, wołającej o pomstę do nieba, opadły jak tynk jesienny wszelkie poglądy, marzenia, przekonania i wolności — obudził się w całem poczuciu lwa, w każdym razie karpackiego rysia, szlachcic sanocki i, przypominając sobie dawne, minione czasy, krzyknął na pustem pobojowisku swe nieśmiertelne „*veto!*“ Precz z demokratami! Precz z chłopomanią! „*A bas la liberté!*“ Niech żyje kastowość, szlachectwo, tradycya! A gdy już na szable nie można było brać przeciwników, gdyż porządny szlachcic nie mógł się pospolitować z nieherbownym przeciwnikiem — wszczęła się walka dziennikarska a komu jaki taki talent służył, jął się pisania tak zwanych powieści współczesnych.

Zygmunt Kaczkowzki należał z rodu i majątku właśnie do tej szlachty sanockiej; on, który skończył wprawdzie t. z. wówczas wydział filozoficzny to jest dzisiejszą siódmą i ósmą klasę gimnazyalną, logikę i fizykę — zaś „jadąc do miasta, niby to dla nauki, zabierał z sobą tyle koni wierzchowych i powozowych, ile ich mógł utrzymać we Lwowie“, on,

„beniaminek“ wieczorów literackich w Zakładzie imienia Ossolińskich — nie zawahał się ani jednej chwili i potępił wogóle i w szczególe ruch demokratyczny, skoro doznał dość zresztą znośnej niedoli więzienia we Lwowie. Od tej chwili pozbył się mrzonek równości i stał się tarczą, puklerzem i mieczem stronnictwa szlacheckiego, które w swem przekonaniu, jedne i jedyne, umiało pielęgnować, niańczyć, wychowywać i zachowywać ducha narodowego. Przeciwników i wrogów zrodzonych, zresztą w retorcie własnej wyobraźni, wykształconych na cierpliwym papierze; upokarzanych, pogardzanych i ukaranych w druku powieści, uposażanych urojonemi wadami, niskiemi chuciami, podłemi instynktami, skrytemi zbrodniami, wprowadza autor jako demokratów do swych powieści. Ten, mówiąc makaronicznie *„modus procedendi“* nikogo, znającego szlachtę sanocką dziwić nie może i nie będzie. Jeszcze w siódmym dziesiątku bieżącego wieku ci panowie: Janiccy, Osuchowscy, Szybińscy, Hickiewicze, Terleccy, Bereźniccy, Sozańscy, Błażowscy i inni z ziemi Sanockiej—zaledwie lenili się z gęstego włosia XVIII wieku, a była to szlachta urodzona około 1846 roku, zatem dwadzieścia lat młodsza od Zygmunta Kaczkowskiego.

Jeśli autor czytał francuzkich pisarzy, a że czytał—widać z cytat w powieściach: „Kato“, „Dziwożona“, „Bajronista“ i „Wnuczęta“—to również z licznych cytat można wnioskować, że arcydzieła takich gieniuszów nieśmiertelnych, jak Mickiewicza i Słowackiego, obcemi mu nie były. Jedynie dla charakterystyki Kaczkowskiego zacytować należy jego poglądy na dzieła mistrzów, które cały kraj poruszyły tchnieniem ożywczem, zaszczepiły nowe życie, nowe prądy, nowe myśli.

„Nowa poezya nasza, którą nazwaliśmy romantyczną, rozbudziła śpiącą duszę. Kto kielich wychylił do dna, dostał zawrotu głowy, który się z czasem zmienił w szaleństwo. Lekarstwo było dobre, ale lekarze zapomnieli dodać przepisu, jak go należało używać...

Romantyczna poezya wyrządziła wiele złego naszej wielkiej rodzinie. Rozpasanie się jej z wszelkich form stałych, do której ją doprowadzili niezdarni uczniowie, sprowadziło za sobą takież same rozpasanie się zdań i umysłów. Gdybyśmy poszli byli tą drogą dalej, bylibyśmy przyszli ostatecznie do tego, że społeczeństwo nasze byłoby się zmieniło w wielki dom obłąkanych... Ale na szczęście nasze przeszkodziły temu wypadki... Myśmy swego czasu uczynili gorzej jeszcze, bośmy hasła poprzedników naszych odrzucili z pogardą. Bóg nas srodze pokarał za to, bo życie nasze upłynęło w poetycznem pijaństwie“... („Dziwożona“ VII, str. 303). O poszczególnych przedstawicielach tej epoki naszej, mówi z wielkiem uznaniem o Karpińskim i Brodzińskim tak w „Bajroniście“, jak i we „Wnuczętach“: „Brodzińskiego zasługi przeszły dzisiaj w wielkiej części na jego następców, którzy z jego puścizny zręczniej a może głośniej umieli korzystać, że główna idea nowego zwrotu w poezyi w Brodziń-

skim tylko była całkiem czysta i swoja; a u późniejszych, choć niezawodnie głośniejszych i wznioślejszych twórców jest już połowa prawie naleciałości obcych i że tylko nieznajomość poetów angielskich i niemieckich może nie widzieć tych strumieni uczucia i myśli, które z gór obcych przeprowadzono w rzek naszych koryta...(„Nasi powieściopisarze“ P. Chmielowskiego, str. 398).

„Profesor stał w owej chwili na bardzo ważnej epoce, bo na Karpińskim i Brodzińskim, których wziąwszy razem, wymieniał ich cechy główne i wystawiał kierunek ich ducha i myśli, opowiadał dalej różnice pomiędzy nimi i ich poprzednikami, a stawiając bardzo wysoko ważność ich posłannictwa w literaturze, wszelkiemi siłami i znakomitym dowodów zasobem usiłował wykazać i dowieść, że oni pierwsi otworzyli to do ich czasów nieznane a tak obfite źródło ludzkiego ducha, z którego wypłynęła nasza literatura. Przy wykładzie swej myśli głównej, którą popierał silną dowodów baterą, miał on baczny wzgląd na to wszystko coby z boku na nią uderzyć mogło i dla tego, lubo przyznawał ważny wpływ i nawet znaczne pod niektóremi względami korzyści, jakie też nowa literatura odniosła z mistrzów poezyi obcej, a mianowicie z Byrona i z całej falangi poetów niemieckich, hetmanionej przez wielkiego poganina Goethego, stanowczo występował ze zdaniem, że na tem jednak silnie ucierpiał tej literatury pierwiastek rodowy, słowiański, i że wynalazek jego właściwej i jemu odpowiedniej formy odroczonym przez to został na długie czasy. Po dowody na to zdanie, oprócz przykładów późniejszego ślepego naśladownictwa i przykładów dziwnie pięknej a czysto słowiańskiej prostoty, sięgał on do świetniejszych epok innych literatur słowiańskich, a zatrzymywał się głównie na wyprawie Igora na Połowców i wielkiej epopei serbskiej, której liczne miejsca z opisów bitwy na Kosowem Polu stoczonej, prostotą i wyniosłością swoją stają na równi z rapsodami greckiemi, przypisanemi nieśmiertelnej lutni Homera“. („Wnuczęta“, str. 836).

Słowa te pisał Kaczkowski już po wydrukowaniu i odczytaniu „Pana Tadeusza“, gdyż w swej powieści wcześniejszej, w „Dziwożonie“, cytuje kilka wierszy z epopei Mickiewicza. O autorze „Ody do młodości“ wyraża się Kaczkowski w ten sposób:

„Ja ci raczej przypomnę innego poetę, który podobno pierwszy głos niegdyś miał między wami, którzy wam wiele pieśni zwodniczych naśpiewał, ale który was (demagogów) stworzył, dał wam oddech, dał czucie i życie, a puszczając was w pęd — rzekł wam wyraźnie: A chociaż który z was legnie wśród zawodu, da przez to szczebel do sławy grodu! Wierszów już nie pamiętam, ale treść ich pamiętam, bo treść ta jest fałszem.

— Prawdą w głowie i w książce — rzekł na to Kamil — ale fałszem w rzeczywistości, a trucizną dla ludzi. Mogłaby może być prawdą i dla nas, gdyby nam wolno było podług tej miary porobić ludzi! Ale

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!
Żeby też jedna!... Ha to mnie przestrasza!
Bohater przeczuł was, krzycząc: skończona!
Z krzyża swojego krzyknął tak, a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera...

— Hola, panie bracie! — zawołał na to — Wybrałeś sobie szaleńca poetę i za nim powtarzasz krwawo wybuchy ostatecznej rozpaczy. Jeżeli to czynisz dla zabawki, to grzeszysz sercem, jeżeli dla nauki, to grzeszysz głową". („Dziwożona" str. 226).

Te dwie cytaty chyba wystarczą, aby poznać ciasność i brak krytycyzmu tej „najsilniejszej" głowy Sanoczczyzny, i demokraci mogą tylko być dumni, że Mickiewicz był ich ojcem a „szaleniec poeta" Słowacki na równi z nimi potępiony. Jeśli Kaczkowski w ten sposób potraktował gieniuszów, to już chyba żadne lekceważące słowa i epitety nadawane często i gęsto demokratom, tych obrazić nie mogły i nie mogą.

Te przekonania i zasady Kaczkowskiego, głoszone szeroko, długo i dość nudnie we wszystkich jego powieściach współczesnych napisanych po wyjściu z więzienia, przypominają mi uporczywie obraz widziany w kopalni węgla. Pewnego dnia wyprowadzono z głębi kopalni konia, który tam przebył około dwóch lat. Koń na powierzchni bał się promieni słońca, swego cienia, przed najzwyklejszemi przedmiotami rzucał się w bok, drżał, słysząc szelest liści lub szum wiatru.

I autor „Dziwożony" został nagle dziwnie wstrzemięźliwy i lękliwy na każdy ruch, każde słowo, każde drgnięcie stronnictwa demokratycznego; przerażało go słońce wschodzące w Europie—i powodowany szczerą chęcią służenia krajowi, jak umiał i mógł, ostrzegał przed demokracyą. Demokrata—jak pisze Kaczkowski („Dziwożona" str. 123)—niema „religii, poszanowania przeszłości, gdzie poszanowanie dla czegokolwiek, co nie z jego głowy pochodzi? tam jest zasada i rozum a krom tego ani czci, ani wiary, ani podkówek u butów!...

Wszystko u nich (demokratów) twarde, surowe, jak pierwiastk pogańskiej sztuki... dla miłości świętej teoryi umieli sobie wszystkie niedostatki, częstokroć występki, a czasem nawet zbrodnie przebaczać". (tamże, str. 239). Że są źle wychowani, że nie umieją znaleźć się w salonie nawet tacy, którzy mają pozory „d'un homme du monde", to rozumie się samo przez się. Że jednak koniec ich jest rozpaczliwie smutny, jeśli nie podły, jak: Stasia z „Katona", Kamila z „Dziwożony", Drabika z „Wnucząt"—to już wina tylko autora, który na równi z demokratami nie może znosić dorobkiewiczów i smaga ich swą ironią i satyrą, gdzie tylko może.

Na pociechę demokratów zostaje przynajmniej to, że o nich Kaczkowski bądź co bądź pisze, zajmuje się nimi; gorzej z chłopami. W je-

denastu wielkich tomach swych powieści, o ile sobie przypominam, są dwie wzmianki o chłopach:

„... Najprzykrzejsze wrażenie (na Kamilu, demokracie!) uczyniły na nim wszelkie zapomogi dawane chłopom. Najpierwej tedy nie mógł tego zrozumieć, jak można systematycznie dawać coś komuś, nie wiedzieć za co, (były to czasy pańszczyzny!), a gdy to zrozumiał, to znów temu nie mógł się dosyć nadziwić, że przyszedł chłop do niego z płaczem i jękiem, prosząc, ażeby mu pożyczył pieniędzy na pogrzeb dziecięcia, a nie miał nigdy dziecięcia; drugi wymodlił na pogrzeb dla żony a potem się pokazało, że tenże chłop nigdy nie był żonaty; trzeci wyprosił coś na zakupno drugiego wołu a nie miał, jak żył pierwszego; czwarty, dziewiąty, dziesiąty pobrali zboże na zasiew i pozanosili je prosto do młyna“... („Dziwożona“ str. 237).

...I przyszła owa gawiedź wiejska, zawsze obdarta, bez zatrudnienia i zawsze łaknąca gorzałki i chleba — urodzona w Galicyi w roku czterdziestym szóstym i czekająca z niecierpliwością czterdziestego ósmego, w którym miała po raz pierwszy wystąpić na scenę, odbyć obrządek chrztu swego, przybrać w nim zacne imię proletaryatu i odegrać swą niemowlęcą rolę w gwarze wrzaskliwych wypadków“... (tamże str. 224).

I to wszystko!

Jak na szlachcica sanockiego — dosyć; ale jak na powieściopisarza polskiego o wiele, o bardzo wiele za mało!

Z takiemi przekonaniami i z takim poglądem na stosunki Galicyi zaczął Kaczkowski pisać swe powieście współczesne. Nie szło mu o artyzm, o wierne obrazy życia ówczesnego, powieść miała być katedrą, z której wygłaszał swe zapatrywania na bieżącą chwilę i wskazywał na drogi przyszłego rozwoju. Forma powieści użyta przez niego miała tylko uprzystępnić i rozprzestrzenić jego osobiste przekonania polityczne i społeczne. Najwybitniejszem, a w każdym razie najszczerszem dziełem w tym kierunku jest jego powieść: „Dziwożona“. W epilogu, formie podówczas najulubieńszego poinformowania czytelników pisze: „Powieści tej głównemi osobami były prosto z życia wyjęte dwa typy owoczesnej młodzieży—typy sławnych marzycieli socyalnych i politycznych, którzy za młodu obiecywali tak wiele, którzy tyle niezaprzeczonych posiadali zdolności, i którzy wszyscy, jeżeli zawczasu z owego błędnego koła niewczesnych sporów o czcze teorye albo martwe przesądy nie wyleźli—i nic zgoła nie ziścili, i sami się zmordowali. Takich ludzi sam znałem wielu, takie typy przesuwały się ciągle przez moją wyobraźnię. Ich obrazy pochwycić i postawić na drogach przyszłych pokoleń, jako drogowskazy odwracające ich kroki od zdradliwych topielisk serca i rozumu, było dawno mojem marzeniem“. („Dziwożona“ II, str. 286).

Do powieści współczesnej zabierał się autor bez zamiłowania, bez chęci, był jedynie posłuszny obowiązkowi, by „przypatrzyć się zblizka

tym wszystkim zgniliznom i rakom, które toczą naszego ducha, przedstawić żywcem wszystkie nasze błędy, występki, szaleństwa a wykazawszy jasno nieominione ich skutki, uderzyć silnie jak gdyby zabójczym toporem w samo źródło choroby!" (tamże, str. 293).

Autor wprowadza tedy do swej „Dziwożony" dwa typy: Edmunda i Kamila. Edmund z tytułem hrabiego, młody człowiek „było to prawdziwe dziecko szlacheckie: krew ognista, umysł żywy i lotny, fantazya bujna i serce poczciwe, szlachetne, ale miękie jak wosk, mające wielką moc na jedną chwilę, ale wielką słabość na całe życie, to były cechy jego organizacyi moralnej". Jest on według autora zawsze i wszędzie szlachetny, dobry, mądry przebaczający. Drugi typ, Kamil pracowity, zdolny przejął się zasadami demokratycznemi, jest piękny, namiętny, ale nieobyty w świecie, abydoznać tylko goryczy, gdyż... jest demokratą; lekceważy tradycye rodowe i religijne! Różnicę tych zdaniem Kaczkowskiego typów, a w rzeczywistości ucieleśnionych swych poglądów i zasad tak opisuje autor: „Potomek nieznajomych Łaskich, Kamil był zawsze nieśmiały i mało mówiący, zamyślony i w sobie zamknięty a chociaż chwilami mówił aż nadto i wpadał przytem w zapał dziwnie ognisty, to działo się to tylko natenczas, kiedy go potrącono przedmiotem dotykającym jego marzeń, lub zasad, albo jego osobistości. Więc chociaż w duszy jego wrzały nieustające płomienie, zdawały się one jednak, jak gdyby obwinione w twardą jakąś skorupę, która nie tak łatwo dawała się przebić. Edmund miał także duszę gorącą, ale ta nie była w nie obwinioną, ani niczem okrytą, a jak na twarzy jego podniesionej do góry i śmiało patrzącej, odbijało się każde uczucie jak gdyby w zwierciadle, tak każda myśl jego objawiała się zaraz przez usta. Tak będąc sam usposobiony, rozumiał on w swojej naiwności młodzieńczej, że nikt nie może być innym i że wszyscy są tacy. Wedle niego więc co on kochał, powinni byli wszyscy ukochać, co on nienawidził, nikt nie mógł nienawidzieć, co jego oburzało, tem się wszyscy powinni byli oburzać". („Dziwożona", VI, str. 306). Ci dwaj młodzieńcy kształcą się we Lwowie, na razie obadwaj pracują szczerze, ale wkrótce życie towarzyskie porywa bogatego Edmunda i drogi ich się rozchodzą. Kamil, mieszkając u archiwisty, bez swej wiedzy i woli, rozkochuje w sobie córkę tegoż bardzo ładną Hanię.

Zbyt głośne odezwanie się radykalnego Kamila zmusza go do ucieczki do domu ojca, właściciela wioski w Karpatach. Tam błądząc po górach i lasach, spotyka w „pogańskim jarze" piękną i zalotną Adelę, córkę byłego generała austryackiego, hrabiankę. Zawiązuje się romans i „cudna" hrabianka Adela, oddaje się Kamilowi w tymże jarze.

Ścigany, Kamil chroni się przypadkowo do pałacu generała, ojca Adeli, który go ukrywa. Ciotka Adeli, udającej iż nigdy nie znała Kamila, jest starą, rozpustną romantyczką, pragnącą usidlić Kamila a gdy ten ją odtrąca, denuncyuje prześladowanego. W tymże czasie zjawia

się Edmund, upatrzony konkurent. Generał w czasie rewizyi umiera, Kamil zaś ucieka Edmund oświadcza się Adeli, która mu wyznaje, że jest już wdową po Kamilu. Młody hrabia po kilku dniach rozumuje w następujący zabawny sposób, aprobowany zupełnie seryo przez autora: „Miłość panny dla młodzieńca jest rzeczą tak naturalną, iż daleko dziwniejby wyglądało na świecie, gdyby się nie zdarzała, niżeli że się wydarza. Na wspomnienie że Kamil się zakochał w Adeli, zawsze się srogo oburzał, bo był zdania, że człowiek takiego urodzenia i nawet ani wychowaniem, ani pojęciami o towarzystwie ludzkiem nie podniesiony do wysokości tego świata, do którego ze wszystkich względów należała Adela, nie miał do niej żadnego prawa“. (str. 126).

Autor, podzielając punkt widzenia swego ukochanego bohatera, pisze: „Edmund był dobry chłopiec w gruncie serca i miał ten przymiot prawdziwie szlachecki, że jeżeli kogo kochał, to żadnej w nim wady nie widział“ (str. 125), więc żeni się z hrabianką Adelą, która wkrótce po ślubie zdradza go z oficerem od huzarów. Rozwiedziony z żoną, jedzie Edmund do Londynu i starzec ksiądz wzmacnia jego wiarę i zbawia go od rozpaczy. Z anglikami jedzie hrabia do Indyj, poluje i bawi się wspaniale.

Tymczasem Kamil, który niewiadomo dlaczego i po co odtrąca hrabiankę Adelę, pragnącą z nim się połączyć po śmierci generała, o głodzie i chłodzie pracuje w Paryżu, poznaje ujemne strony młodych, dorabia się wielkiej fortuny i wraca do Lwowa. Rozczarowuje się do kraju, do ludzi, do chłopów, bo jest zawsze... demokratą, bo lekceważy religię i rządzi się rozumem a nie sercem i wiarą jak Edmund, który, wyhulawszy się, wraca z projektami gospodarskiemi do kraju.

I znów obadwaj kochają się w niemłodej Hani, a że Kamil, jak się pokazuje, jest jej bratem stryjecznym, żeni się z nią Edmund. Hrabina Adela zastawia sieci na bogatego Kamila, są już po ślubie i jadą „pogańskim jarem“ przez bardzo lichy most. Nagle załamuje się most, Adela zostaje zabita a Kamil, przeklinając kraj, wyjeżdża i ginie zagranicą. Teraz dopiero Edmund wyrasta w powieści na wzór wzorów obywateli, majątek oczyszcza z długów, zakłada fabryki, wgląda w szczegóły, a jego „dom był po staropolsku gościnny dla wszystkich; gospodarstwo oboje równie uprzejmi i radzi, osobliwie sama hrabina, która między gośćmi żadnej nie chciała znać różnicy. Edmund pozwalał na to żonie, ale sam znał i odznaczał te towarzyskie różnice, które zawsze szanował... Był to człowiek godzien ze wszech miar bacznej uwagi, a jak był niegdyś zapewne bardzo sympatycznym młodzieńcem, tak dzisiaj był mężem wzbudzającym cześć i szacunek. Nauki miał bardzo wiele, wiadomości moc nieprzebraną, wiele bardzo widział, a co widział, poznał gruntownie, nadewszystko zaś najwięcej z własnego doświadczenia. Chara-

kter miał otwarty i pełen owej niezwichnionej prawości, która nawet żadnego cienia nie zostawia po sobie; pełen był odwagi cywilnej i osobistej, przekonania swoje zawsze wypowiadał otwarcie i śmiało, nie zapalał się już nigdy i do niczego, ale stała i niezmieniona energia towarzyszyła wszystkim jego uczynkom i przedsięwzięciom. Religijnym był bardzo a nawet rygorystą pod wielu względami, nie mógł znieść niedowiarków i libertynów, ale słuszne miał poważanie dla ludzkiego rozumu. Lubił zachowywać powagą swojej osoby i ztąd czasem zanadto arbitralnym głosem wypowiadał swe zdania, ale najczęściej przez to podnosił się bardzo wysoko nad innych i wyglądał natenczas jak gdyby starzec jaki, zajmujący wysokie i powszechnie uznane w społeczeństwie stanowisko. Przy tem wszystkiem, chociaż nigdy wesołym „był jednak zawsze dość mownym; często dziwnie trafnym w swych sądach, czasem bardzo dowcipnym a zawsze wszystkiego ciekawym, co dotyczyło kraju i powszechności. W rozmowach o wszystkiem nigdy nic nie okrążał zawsze wpadał w sam środek rzeczy i wyczerpywał przedmiot do gruntu a pogadanki o rzeczach poważnych z ludźmi oświeconymi nad wszystko inne przenosił. Humor zawsze miał jednakowy, spokojny i bardzo pogodny“...

Tak mówi autor o Edmundzie; sąd to gołosłowny, niepoparty żadnym obrazem, ale odzwierciadla ideał Kaczkowskiego.

Wprawdzie możnaby się zdziwić, że ów ideał nie poczuwa się do żadnych obowiązków względem kraju lub państwa; wprawdzie poprzednie życie w młodości na hulankach przeszło; potem na ślepej miłości do pierwszej żony, następnie na podróżach i polowaniach, wreszcie na ciasnem, egoistycznem używaniu majątku odziedziczonego, ale u Kaczkowskiego w jego powieściach współczesnych dzieje się to co z kobietami wielkich nazwisk, po szumnem życiu kończą karyerę jako świątobliwe matrony, dość wspomnieć sławną z piękności i lekkomyślności Zofię, żonę Szczęsnego Potockiego, która jednak umarła jako wzorowa i pobożna matrona! (Szczegóły cytowane w „Szkicach historycznych“ J. Rollego).

Do tejże powieści wprowadza autor trzy kobiety: Adelę, młodą hrabiankę, kokietkę rozpustną; Hanię, cnotliwą, pobożną, rozsądną, powtórzenie już opisywanych szlacheianeczek z historycznych swych powieści; wreszcie chytrą intrygantkę marszałkową, postać nieodzowną we wszystkich powieściach większych Kaczkowskiego, którą dość trafnie opisuje i karze z wielkiem swojem zadowoleniem.

Adela, Hania, marszałkowa, Edmund i Kamil kochają się, rozpaczają, ulegają, płaczą i narzekają z miłości. Autor gdzie tylko może drwi z miłości gwałtownej, namiętnej, w której tonie umysł i ciało a która naprawdę ostatecznie w życiu coś warta i reprezentuje jakąś cyfrę. Ulubionym konikiem tych drwin jest naturalnie demokrata Kamil, któremu każe autor cytować często oktawy wspaniałej, nieśmiertelnej poezyi

Słowackiego z „Beniowskiego". Zdaniem autora, księdza Augustyna, Edmunda i Hani „prawdziwa i najpiękniejsza, jaka być może miłość, to nie jest owa, w której krwiste serce najgłówniejszą odgrywało rolę, w której oczy mdleją z czułości, usta drżą za pocałunkami, i w której dreszcz porywa, gdy zapachną kochanki warkocze, jak to się działo z Kamilem: ale to najczyściejsze zespolenie się ducha z duchem, najściślejszy związek myśli i uczuć, najwznioślejsza duchowa harmonia. Miłość taka, czysta jak dusza anioła, spokojna jak sen niemowlęcia i przytomna jak mąż w doświadczeniach dojrzały, nie jest niczem innem, jak tylko duchową sympatyą — i taka tylko miłość zasługuje na cześć i szacunek, taka tylko miłość nie jest grzeszną ziemską namiętnością i ona tylko może dać pewną rękojmię trwałości i szczęśliwego pożycia".

Nie wiem, czy kto, gdzie i kiedy, tak kochał! Z wyjątkiem bohaterów powieściowych Kaczkowskiego i autorek „Boże odpuść", gdyż tylko szał, omamienie, oślepienie, tylko bezwzględne zapamiętanie usprawiedliwia poniekąd, do pewnego stopnia ów poryw z tak opłakanemi dla kobiety i mężczyzny skutkami. I dlatego miłość Kamila ma od biedy jeszcze jaką taką racyę i jeśli się z nią nie współczuje dostatecznie, gdyż jest nadto teatralną w powieści, to można ją zrozumieć i usprawiedliwić. Ale miłość Edmunda dla Hani jest tak oślizła, tak mdła, tak pełzająca z jadalnego pokoju do sypialnego i na odwrót, że taką miłość takim tylko bohaterom przebaczyć można.

Jest rzeczą godną uwagi i zastanowienia, jak dalece talent, nawet tak wybitny jak Kaczkowskiego, obniża się, karleje, wreszcie niknie, skoro wprzęgnie się w służbę tendencyi. Ów autor, który umiał tak wybornie ożywić i pokazać osoby w powieściach historycznych, wzorując się na rzeczywistości—wykoszlawia i postacie i akcyę tam gdzie zaufany w swą wyobraźnię stara się przeprowadzić swe teorye społeczno-polityczne. Zamiast osób żywych, obrazów prawdziwych są w tej powieści lalki wypchane trocinami tendencyjnych frazesów, kręcące się wśród akcyi chorobliwej, zgorączkowanej halucynacyi. Nawet ów Edmund wypieszczony i ukochany przez autora, jest tylko niedołęgą, który nie wie, gdzie idzie, czego chce i dokąd dąży — o wiele szlachetniejszy, dzielniejszy, jest potępiany przez autora Kamil, kreacya również papierowa. Ten przynajmniej wie, dlaczego żyje i w imię swej idei umiera.

P. Chmielowski w swem cennem studyum o Kaczkowskim chwali i podnosi do zalety, że autor porusza zagadnienia ogólne, pragnie zanalizować teraźniejszość i podaje jakieś lekarstwo na przyszłość.

Przyjąwszy nawet tę zasadę, zdaniem mojem najzupełniej mylną, że powieść bez ujmy dla swej wartości, może służyć równocześnie dwom bogom, estetyce i dydaktyce, to i w takim razie ów ideał społeczny Kaczkowskiego jest dziwnie mały i płaski.

W powieści pierwszy Kaczkowski, postawił szkic, tej następnie tak rozgłośnej i uprawianej „pracy organicznej". Ideał taki, pominąwszy szlacheckość Kaczkowskiego odrzuconą później, powinien był dbać przedewszystkiem o majątek osobisty, poświęcić w tym celu swe siły umysłowe i fizyczne; powinien trzymać się zdala od wszelkich prac i dążności ogólnych, wytyczną jego ma być tradycya i bierność dochodząca do ślepoty, jako środek pociechy i zmuszenia się do pokory i abnegacyi służy religia z jej obrządkami.

Tego rodzaju ideał musiał być i był przyjęty skwapliwie przez większość, propagował bowiem najniższe instynkta, czysto egoistyczne, a w dodatku osłaniał to marne sobkowstwo wspaniałą togą pracy dla idei! I wkrótce cały kraj pokrył się wyznawcami tej idei. Szlachcic wyzyskiwał parobków i swą przewagę ekonomiczną na wsi, dogadzał swym osobistym chęciom i interesom, trzymając się zdala od innych w imię idei! Przemysłowiec i fabrykant dusił podwładnych, jak mógł i umiał, opływając sam we wszystko—w imię idei! Kupcy i mieszczanie, nie przebierając w środkach i pozorach usiłowali się bogacić — w imię idei! Dla bierności, uległości, schylania głów i czapek, niewolniczego nadskakiwania i wstrętnego schlebiania możnym wynaleziono nową filozofię życia i część tych zasad ochrzczono oportunizmem. Wszystko—dla idei!

Propagując tę wązką i bardzo wątpliwej wartości ideę, wzywa jednak Kaczkowski usilnie do pracy i pisze: „Specyalista żaden prawie do bardzo złych rezultatów nie dojdzie a my, niestety, nie mamy wcale specyalistów pomiędzy sobą. My wszyscy na nasze nieszczęście jesteśmy szlachtą i chcemy wiedzieć wszystko; puszczamy się więc już zaraz z młodu kilkunastoma drogami odrazu, i nie doszedłszy nigdzie, wracamy nazad, a powróciwszy, powiadamy z miną filozofów: mądrość światowa jest głupstwem. Taka metoda wychowywania się i kształcenia nie prowadzi nas oczywiście do czego innego, jak tylko, że po skończeniu całkowitej edukacyi właściwie nic nie umiemy, przez resztę życia już niczego się nie uczymy, nie zostajemy specyalnie niczem a śród tego uczuwamy coraz większą czczość w sercu, coraz większy chaos w umyśle, coraz mniejszą świadomość siebie w naszem sumieniu i nakoniec przestajemy być nawet samymi sobą. Goethe jeszcze przed piędziesięciu laty zdaje się, że nas miał na myśli, kiedy powiedział: „*Wer sich von nun an nicht an eine Kunst oder Handwerk legt, der wird übel dran sein. Das Wissen fördert nicht mehr bei dem schnellen Umtriebe der Welt bis man von Allem Notiz genommen hat verliert man sich selbst*". Tych słów powinien się każden chłopiec nasz na pamięć nauczyć zaraz po katechizmie, te słowa powinny być złotemi zgłoskami wyryte na każdej szkole. I nie masz nic pewniejszego nad to, że gdybyśmy je wzięli sobie do serca i gdyby każdy z nas, prócz szlachectwa, obrał sobie jakąś profesyę, to aniby nam się świat wydawał tak zupełnie znikomym, ani życie taką nę-

dzotą, ani mądrość ludzka tak głupią, anibyśmy znali owe czczości i nudności serca, ani owe gorączki umysłu, które sprowadzają nam choroby moralne, albo rodzą w nas żądzę zmieniania światowego porządku i stawania się fałszywymi prorokami, albo nieproszonymi zbawicielami ludzkości. Ludzie praktykujący jakąś sztukę wyłączną, albo rzemiosło, albo li tylko usposobieni specyalnie i pielęgnujący tę swoją specyalność, nie przychodzą nigdy do takiej umysłowej choroby, ani do pogardy życia, ani do lekceważenia ludzkiej mądrości. Jeżeli są religijni, to się korzą ze swoim rozumem i wyznają jego małość przed Bogiem, ale także dlatego że są religijni, nie uważają go za nic, bo rozum ludzki jest dziełem Boskiem. Żaden szewc pewnie nikomu nie powie, że szewstwo jest głupstwem, ale owszem każdemu z nich zdaje się, że bez szewstwa światby nie istniał. Dlatego szewc nigdy nie pogardza rozumem ludzkim, choćby tylko dlatego, że szewstwo wynalazł, nie pogardza życiem, bo jego życie jest szewstwo a gdyby mu już wszystko obmierzło i ziemia niczem do niego nie przemawiała, to jeszcze zawsze żyć będzie i kochać tę ziemię, choćby tylko dlatego, ażeby mógł na niej szyć buty. Tak samo myśli stolarz i botanik, celnik i astronom, mechanik i malarz, adwokat i historyk, naturalista i agronom z profesyi, jakich, niestety, wcale nie więcej jest między szlachtą, jak innych profesyonistów". („Wnuczęta" str. 110).

Podobnie jak owe dwa typy Kaczkowski w swej „Dziwożonie" przedstawił blado, bez względnienia psychologicznych właściwości i charakterów, a podkreślał jaskrawo tylko frazesy swych osobistych przekonań; tak i w tem dążeniu i wezwaniu do specyalizacyi poprzestał autor tylko na słowach, w żadnej ze w swych powieści nie pokazuje człowieka, który, poświęciwszy się danemu zawodowi, osiąga dodatnie rezultaty.

Myśl przewodnia, idea czy tendencya narzucona dziełu artystycznemu zawsze i wszędzie obniża wartość estetyczną, krępuje talent i artystę przemienia w rzemieślnika. Taki autor przystępuje do pisania już z obrazami i wrażeniami zastosowanemi i naciągniętemi do swej idei przewodniej liczy się z logiką tendencyi a nie osób opisywanych, staje się owym malarzem pokojowym, który ma gotowe patrony a swą samodzielność objawia gatunkiem i kolorem farb.

Bezsprzecznie każda powieść, czy dzieło artystyczne wyraża pewną ideę, posiada swą myśl przewodnią, ale idea ta wypływa z samego życia z obrazów i charakterów, nie jest wytworem wyobraźni autora, ale faktem zaobserwowanym, odczutym, doznanym.

Kaczkowski nie zadowolnił się jednak zasłużoną sławą dobrego powieściopisarza, jak świadczą jego pierwsze pewieści historyczne, zapragnął być prorokiem, heroldem nowej ery życia i zaczął używać powieści jako odezw. Dla celów publicystycznych poświęci cele artystyczne — i stworzył bardzo mierne powieści jak: „Bajronista", „Dziwożona", „Rozbitek", „Żydowscy", „Graf Rak".

Wszystkie te powieści posiadają pewną, dziś już tylko historyczną, wartość publicystyczną, mogą w danym razie posłużyć jako materyał do scharakteryzowania przekonań pewnej, dość nielicznej grupy szlacheckiej, świadczą o wielkiem zainteresowaniu się autora sprawami krajowemi — ale i na tem koniec.

Od czasu do czasu w tych powieściach błyśnie jasno talent autora, nawet w „Dziwożonie“ np. cały rozdział siódmy (tom VI str. 361 i następne), gdzie autor wprowadza doskonale scharakteryzowanego Szłyka, dawnego żołnierza, klnącego nieustannie: „Quintum Dyabłum mospanie!“, a wierzącego tylko w strzelbę, szablę i konia, będącego ekonomem u właściciela małej wioski Bonawentury. W tym rozdziale widać niemal z każdego obrazu, że Kaczkowski to rzeczywisty, istotny talent, który umie oddać artystycznie, to co widział, czy przeżył.

Zdaniem Schoppenhauera, wartość danej książki sprowadza się do trzech pytań rozstrzygających. Pierwsze pytanie dotyczy przedmiotu, nad którym autor myślał, drugie formy: co on o nim myślał; a trzecie jak myślał. Dla Kaczkowskiego przedmiotem był aidea pracy organicznej, poprzednio już wzmiankowana i określana w tymże artykule, co myślał — świadczy przebieg akcyi jego powieści, w której ideałami nagrodzonemi jest szlachta pielęgnująca troskliwie tradycye herbowe i rodowe, przywiązana ślepo do wyznania religijnego i bogacąca się na wsi rodzinnej. Wszyscy demokraci marnieją, giną, szkodzą krajowi lub podleją, jak Kamil, Drabik, Staś i inni. Na trzecie pytanie jak myślał — daje odpowiedź styl autora. Kaczkowski w kompozycyi powieści jest niedbały, luźny, zrywa wątek powieści, przerzucając się dowolnie w inną sytuacyę, w inne miejsce, pomiędzy innych ludzi, jak świadczy zresztą streszczenie „Dziwożony“. Swoją osobę, swoje ja, ukryte tak starannie w pierwszych powieściach historycznych, w powieściach współczesnych, nietylko że wysuwa nieustannie, ale robi się osią akcyi, przemożnym maszynistą, który ciągle pokazuje czytelnikowi sznurki, za pomocą których porusza wprowadzonemi maryonetkami: „Ażebyśmy mogli dalej naszą powieść prowadzić porządkiem wydarzeń“... (VI str. 112). „Ażeby opowiedzieć wszystkie te sceny i scenki, w których milionowe role musiał pomimo swej woli odgrywać pokorny pomiędzy ludźmi i nieszczęśliwą miłością powalony Kamilek, trzebaby nam o wiele rozszerzyć zakreślone ramy powieści: krótko więc tylko powiemy, iż do wszystkich jego nieszczęść przyłączyło się zczasem i to, że się stał bawidełkiem w rękach dwóch zepsutych, kapryśnych i pogniewanych pomiędzy sobą kokietek — i przypomnieć, iż go szalona miłość niewolniczo przykuwała do jednej a obrzydzenie i trwoga odtrącała od drugiej“ (VI. 46).

Tego rodzaju przemowy i objaśnienia są bardzo liczne i częste. Jest to nader wygodne ułatwienie pracy, aby zamiast akcyi i obrazu napisać ogólnik, który nic nie mówi, niczego nie dowodzi, tylko zwiększa balast słów. W ogóle Kaczkowski lubi imperatorskie czy dyktatorskie monologi, w przekonaniu, że potulny czytelnik przyjmie w pokorze i posłuszeństwie jego słowny i tylko słowny dowód. Takie określenia jak: „była to głowa przewrócona“, „charakter uparty“, „szlacheckie dziecko“, „serce miał z głazu“ etc. etc. nic nie mówią ani określają, gdyż w akcyi np. taki Kamil niczem, ale to absolutnie niczem nie wykazuje słuszności gołosłownych oskarżeń i określeń ujemnych autora. I w tej dwoistości leży właśnie błąd tendencyjnego utworu i stylu napuszonego, który ma zastąpić obraz.

Już to bombastyczny frazes ma zawsze Kaczkowski na swe usługi. Opisując np. konieczny i pożądany przez bohatera wyjazd, autor pisze: „Przypomnienia, że kraj opuszcza, zaćmiły zaraz ów wyraz promienny na jego twarzy i obciągnęły ją chmurą, jedną wprawdzie, ale czarną jak całun pogrzebowy i krwawą po krańcach jak ów pręg płomienny na niebie zachodniem, który zostawia po sobie słońce, zwiastujące wichry, ulewę i burzę. I tej chmury nie mógł on już spędzić z swej twarzy, ani nawet rozjaśnić, widać, że pod nią darło się serce jego w rozpaczliwej boleści i krwią swoją zalało wszelkie inne uczucia i myśli“... (VII, str. 110).

Zamiast skreślenia tak naturalnego smutku przy wyjeździe, autor umieszcza na twarzy, i to Kamila, demokraty nielubiącego kraju, promienie, płomienie, całuny, chmury, zachód słońca, burze, wichry, ulewy, wreszcie krew!

Opisując nastrój Edmunda, którego kokietuje niewinnie Adela, autor wyraża się: „Z przyczyny zawodów, już doświadczonych i jeszcze wciąż doświadczanych, cierpiał on męki piekielne, ale w nich nie upadał, owszem z każdym dniem więcej rozpłomieniała się jego miłość, z każdym dniem lepiej hartował się jego upór, z każdym dniem wyżej podnosiła się jego rozdrażniona ambicya“... (VII, str. 120).

I te słowa mają opisać kilkutygodniową miłość Edmunda...

Przedstawiając zajście pomiędzy marszałkową i Kamilem, pisze: „Była to dekonfitura kompletna, na którą żadnego nie było ratunku; wszakże to jeszcze daleko gorzej, że z tej dekonfitury zrobił się pasztet najszkaradniejszy“. (VII, str. 71).

Kaczkowski ma swe ulubione wyrazy, które umieszcza, zdaje się, dla samej przyjemności umieszczenia, np. wyraz „głaz“. „Serce jego było kawałkiem głazu“ i tuż dalej pisze: „Zaręczam, że ujrzawszy rozum, ten głaz lodowaty z anatomicznym nożem i ważką w ręku, ten głaz z surowem okiem, z miedzianem czołem i głową pełną liczb i porównań, ten głaz, w ustach którego tylko jedno brzmi słowo: konieczność!...“

(IX, str. 78). Z powyższych wyjątków widać tę właściwość stylu Kaczkowskiego, zastępywania opisów uczuć czy faktów górnemi słowami. One mają zastąpić barwność, szczerość, prawdę — a są naprawdę tylko pustemi, bez treści i zastosowania słowami, które usiłują pokryć brak uczuć, brak obrazów, brak wrażeń.

Również bezbarwnemi i chorowitemi są jego dyalogi, któremi od czasu do czasu przeplata swe wypracowane rozumowania. Oto dwie próbki:

Edmundowi po drwiącej przemowie Adeli „łzy się puściły po obudwu policzkach"—i milczał.

— Pan płaczesz — rzekła na to Dziwożona, kiwając główką, lecz z suchemi oczyma — och, jak jabym płakała, ale niestety, brakło już łez w moich oczach.

— Pani! — zawołał na to Edmund żałosnym głosem — cóżem pani zawinił, że się tak ze mną obchodzisz? Zlituj się pani nademną!

— Ja mam się litować teraz nad panem? — odpowiedziała dziwnie ironicznym tonem generałówna—a któż się będzie litował nademną?

Edmund się zerwał jak oparzony i uciekł z salonu..." (VII str. 119).

Taką rozmowę prowadzą narzeczeni po oświadczynach i gorących pocałunkach i ona powoduje „piekielne" cierpienia.

W następnej cytacie córka biednego emeryta archiwisty, nieuczona Hania rozmawia z hrabią Edmundem w niej zakochanym w ten sposób:

..." — Dzisiaj struny wzniosłego hymnu życia pańskiego pozrywane nie są już w stanie wydać głosu z siebie, a chociaż lutnia jeszcze jest cała, brakuje jej ręki mistrza, któryby struny potargane umiał pospajać na nowo, nawiązać je, nastroić i nadać im władzę dawnego głosu. O! czuję ja dobrze stan duszy pańskiej... jest to choroba moralna, jedna z najuciążliwszych, grasująca dzisiaj jak nowy mór między nami, porywająca co najwznioślejsze dusze, co najgorętsze serca z naszego koła. Nie sądzę jednak, żeby ta choroba miała być koniecznie śmiertelną, ażeby na nią nie było lekarstwa.

— Lekarstwa? — zawołał Edmund — ha, znam ja dobrze to lekarstwo!... Jest ono niezawodnie skuteczne... chociaż tak proste i łatwe... łut prochu i kilka łutów ołowiu!... ale...

— Ach, co też pan mówisz, panie Edmundzie! — krzyknęła na to ze wstrętem Hania — toż tyle nauki, tyle szlachetnych uczuć, tyle doświadczenia, to wszystko razem nie potrafi się zdobyć na nic innego, jak na samobójstwo?...

Edmund patrzył prosto w twarz Hani, ani słowa nie mówiąc, tymczasem ona, przestraszona i drżąca jeszcze od przerażenia, jakie na niej sprawiły nieoględne słowa Edmunda, zapatrzyła się smutnemi oczami w ziemię, westchnęła w głębi piersi i rzekła:

— O Boże, jakże nieszczęśliwi są ludzie, którzy się sami pozbawili Twej wszechmocnej opieki!

— Czy pani sądzisz — spytał Edmund po chwili — że i ja do nich należę?...“ (VII, str. 216).

Następnie w długiej i nudnej rozprawie nawraca ta ewangieliczna panna Edmunda, który, będąc dobrze urodzonym i wychowanym, podtrzymuje tę wcale nieinteresującą rozmowę, ale ani chwili nie wątpi w swe nawrócenie.

Wady tych powieści współczesnych są i liczne i wielkie, a nawet myśl przewodnia ich nie okupuje, gdyż jest ona zanadto ciasną, kastową, zanadto pisaną przez szlachcica dla szlachciców.

Najpłodniejszą epoką działalności literackiej Z. Kaczkowskiego są lata od 1848 do 1855; w tym okresie napisał on swoje najlepsze i najbardziej czytane powieści. Następne powieści, nawet historyczne już noszą na sobie cechę zaniedbania i upadku artyzmu. Ten popęd do publicystycznej roboty nakłonił Kaczkowskiego do wzięcia udziału w tygodniku p. t. „Kółko rodzinne“. W piśmie tem wydawanem pod redakcyą Jana Zacharyasiewicza i Aleksandra Szedlera brali udział wybitniejsi literaci galicyjscy. Kaczkowski zaczął umieszczać w tym tygodniku powieść p. t. „Żydowscy“ w r. 1860. Powieść ta, jak się wyraża nawet panegiryczny artykuł Wincentego Korotyńskiego, jest „najmniej artystyczna ze wszystkich utworów, kreślona grubemi rysami w celu robienia propagandy“, wywołała dużo krzyku i hałasu z powodu swej tendencyi.

W styczniu 1864 roku Kaczkowski wyjechał z Galicyi nazawsze. Najpierw pojechał do Włoch, gdzie pożegnał się w Turynie ze swoim bratem, który w r. 1865 zginął w Meksyku, biorąc udział w niefortunnej wyprawie Maksymiliana. Następnie osiadł w Wiedniu i dorobił się bardzo znacznego majątku. Będąc bezdzietnym przyjął za syna bratanka swego, którego ojciec zginął w Ameryce. Znany wiedeński „krach“ i śmierć wychowanka ukochanego w pożarze „Ringteatru“ skłoniły go do opuszczenia Wiednia i stałego zamieszkania w Paryżu.

P. Wincenty Kosiakiewiewicz, przebywający stale w Paryżu, tak opisuje życie Kaczkowskiego nad Sekwaną: „Z przyjazdem Kaczkowskiego do Paryża rozpoczął się okres w jego życiu dla literatury prawie bezpłodny przez czas pewien. Literat rozpoczyna „nowe życie“, rozwija na dobre to, czego popróbował trochę już w Wiedniu, oddaje się interesom, staje się *un homme d'affaire.* I wziąwszy na siebie tę nową skórę, już nigdy jej nie porzuca, a tak doskonale ona mu do ciała przylegała, że oto francuzi, z którymi on był w ciągłych stosunkach, na pogrzebie, zdumieni się dowiadują, że ten *brasseur d'affaires* był także *un grand écrivain*, a jeden z nich zapytuje mnie:

— *Dans quel genre?* (w jakim rodzaju?).

A kiedy mu odpowiedziałem, że to był powieściopisarz, zdumienie jego nie miało granic.

O tej stronie działalności Kaczkowskiego mało się u nas wie, a i to niedokładnie. Zebrane przezemnie wiadomości przedstawiają mi go jako i na tem polu figurę niepoślednią. Był to finansista na wielką skalę. Miał on pomysły szerokie, a praktyczne, objęcie duże, wzrok bystry. Doprawdy, że nikt nie może zgadnąć, co siedzi w skórze polskiego szlachcica! Gdyby autor „Sodalisa" i „Bitwy o chorążankę", przed oddaniem się interesom finansowym, zapytał się o radę swoich, nas, mnie lub ciebie, czytelniku, każdy odpowiedziałby mu: „Pisz, a jak nie, to kup sobie kawał ziemi, orz ją i obsiewaj!" Tymczasem oto, jak źle byśmy mu poradzili... Jego szeroka inteligencya znalazła dla siebie żyzne pole i w tym świecie, potrzeba tylu zalet, tak odmiennych od tych, jakie chowa polski szlachcic.

Jednem z pierwszych i zarazem najszczęśliwszych przedsięwzięć było założenie po wojnie prusko-francuzkiej natychmiast syndykatu zagranicznego dla poręczenia długu, zaciągniętego na liberacyę ziemi francuzkiej. Niemcy żądali pięć miliardów w złocie. Nie wiadomo, czy tyle monety znalazłoby się w całym kraju, a gdyby nawet i tyle było, szybkie skupowanie złota spowodowałoby wielką jego zwyżkę, a właściwie, co jest wszystko jedno, zniżkę wszystkiego, co ma wartość zamienną. Kaczkowski w tej ciężkiej chwili dla Francyi oddał jej wielką przysługę. On dostarczył jej weksli na banki niemieckie, które prusacy przyjmowali jako złoto. Pojechał on do Wersalu, przedstawił swój projekt rządowi, który go z radością przyjął, z wielką energią zabrał się do pracy i doprowadził to dzieło do skutku. W ostatecznej umowie on to podpisał z rządem układy jako przedstawiciel hamburskiego „Norddeutsche Bank". Wtedy to i za to Thiers dał mu wstążeczkę Legii honorowej.

Innem szczęśliwem przedsiębiorstwem Kaczkowskiego, choć o mniejszem znaczeniu, było wprowadzenie do Francyi austryackiego Towarzystwa ubezpieczeń na życie, znanego pod firmą „Phoenix". Przyjęło się ono wybornie, mimo silnej konkurencyi firm amerykańskich, które walczyły z „Phoenixem" i walczą zajadle.

Jeszcze inna szczęśliwie poprowadzona instytucya. Kaczkowski z drugim polakiem, hrabią Oksza Orzechowskim, założył „Banque Romaine". Akcye tego Banku w krótkim czasie potroiły swoją wartość i Kaczkowski na tem zarobił, a przynajmniej mógł zarobić był (jak mi to mówił sam jego szanowny wspólnik)—mniej więcej milion.

Opowiadano mi też (źródło pewne), że pomiędzy dwoma wspólnikami wybuchło nieporozumienie. Da nam to miarę na jak wielką stopę prowadzili oni interesy, jeżeli powiemy, że szło tu o różnicę sumy 200

tys. franków. Nieporozumienie, które trwało lata, zakończone zostało ostatecznie zgodą — i właśnie hr. Oksza-Orzechowski prowadził kondukt, towarzyszący ciału, na miejsce wiecznego spoczynku.

Oczywiście, nie wszystkie pomysły Kaczkowskiego były równie szczęśliwe. Na jednych zarabiał, na innych tracił. Obracał milionami i żył w dostatku, jakiego mu zapewnićby nigdy nie mogły jego „Bajroniści“ i „Sodalisy“.

Jakim jest jego majątek?

Wymieniono mi sumę czterech milionów franków. Inni mówią, że trzeba tu dużo odjąć, aby zbliżyć się do rzeczywistości. Ale nic nie ma trudniejszego, jak ustalić cyfrę majątku człowieka, którego całe mienie jest w ustawicznym ruchu. Testament powie nam ostatnie słowo.

Pewnem jest jednak, że mienie to przechodzi na żonę Kaczkowskiego, z domu Caillet, francuzkę, która była od roku 1865 nierozłączną towarzyszką jego życia. Legaty jego są następujące — o czem mam wiadomość od p. Korytko, wykonawcy jego woli: Dla Towarzystwa historycznego we Lwowie: biblioteka i prawo własności literackiej. Sporo rękopisów. Dla szkoły polskiej w Paryżu podręczna biblioteczka.

* * *

— *De tous les abus, il ne connaissait qu'un, celui du travail*— powiedziała mi pani Kaczkowska, która wcale nie mówi po polsku. Pracował on nieustannie i w ciągu ostatnich lat dziesięciu wrócił znowu do powieści.

Zajmował on apartament dość obszerny na ulicy Riboutté, na rogu ulicy Lafayette'a, ruchliwej, pełnej zgiełku, przypominającej warszawską ulicę Marszałkowską. Za salonikiem, pięknie, ale dość pospolicie umeblowanym i przypominającym raczej gust człowieka, poświęconego interesom, niż smak literata, był gabinet, którego okno z balkonem wychodziło na skwer pełen zieleni. Tu czuć już było literata. Na biurku z jednej strony pełno było listów w kopertach z firmami, z drugiej ostatni tom kwartalnika historycznego. Na kominku piękne bronzy Na stoliku podręczne książki. W etażerkach komplety „Świata“. Na komodzie numery „Biblioteki warszawskiej“ i „Kraju“. Na prawo od biurka sofa żółtym safianem pokryta, którą na łóżko można zamienić. Tu chorował wielki pisarz i umarł. Na ścianach parę obrazów starych szkół i dwa portrety. Jeden to z czasów „Bajronisty“ niewątpliwie, bo w stroju Bajrona. Młody człowiek, piękny chłopiec, z westchnieniem w spojrzeniu. Jest to kopia z podpisem Rejchana z płótna współczesnego temu wiekowi Kaczkowskiego. Drugi portret nosi podpis p. Zimansa Loewy i przedstawia nam Kaczkowskiego z roku 1884, siwego już; z tegoż roku pochodzi płaskorzeźba p. Marcinkowskiego, w bronzie, od lana z gliny, modelowanej z natury. Kaczkowski lubił ten bronz.

Wszędzie widzimy ten sam krój kołnierzyka, tę samą formę krawatu. Na tym punkcie Kaczkowski był konserwatystą i krawiec jego

musiał się stosować do mody z 1854 r. Kołnierzyk stojący, otwarty i o skrzydłach nieco odwiniętych, krawat—węzeł, luźno spadający.

Oddany interesom finansowym rano, poświęcając popołudnie na pracę literacką, a wieczory na czytanie książek i miesięczników, w ciągłej pracy, żył Kaczkowski zarazem w wirze życia i na uboczu. Towarzystwa polskiemu się nie udzielał. Witał mile gości, ale domu otwartego nie prowadził, wizyt nie składał. Goście też to byli przygodni, prawie interesanci. Ze stalszych wymienić należy p. Józefa Gałęzowskiego, p. Józefa Sas-Winnickiego, który przez pięć lat był sekretarzem Kaczkowskiego, hrabiego Okszę-Orzechowskiego, z którym stosunki uległy dwunastoletniej pauzie i p. Korytkę.

W ostatnich latach zajmował się on losem dwojga sierot, dzieci po siostrze swojej żony; dwaj chłopcy, jeden 7 lat, drugi 3.

* * *

Był to człowiek silny i dobrego zdrowia. Od ośmnastu miesięcy jednak bardzo się zmienił, a przed trzema miesiącami położył się do łóżka, w roku 72 swojego życia, aby już zeń nie wstać.

Właściwą przyczyną jego śmierci był wiek. Ale rozwinęły się w nim cierpienia pęcherza, skomplikowane dolegliwościami serca. Miał samowiedzę śmierci i przygotowywał się do niej. Uregulował sytuacyę swojej towarzyszki, poślubiając ją, dodał kodycyl do testamentu, zrobił różne dyspozycye. W ostatku wyczerpanie i osłabienie było krańcowe. Operacya nie zdołała go uratować. Gasł jak lampa. Agonia zaczęła się w poniedziałek, 7 września, o godzinie 5 i pół rano. O szóstej nie żył".

Współcześnie z ukazywaniem się powieści, zwłaszcza historycznych, pojawiały się krytyki i rozbiory, pisane przez wybitnych literatów i niemal we wszystkich polskich pismach. Najsumienniejszem i najlepszem jest studyum P. Chmielowskiego, umieszczone w dziele: „Nasi powieściopisarze". Najpierw skreśla epokę, w której Kaczkowski żył i wśród której pracował, ocenia następnie wpływy literackie i społeczne i wierny swej tylokrotnie głoszonej zasadzie wyższości treści czy też idei nad formą, wykazuje zalety Kaczkowskiego, jako pisarza obejmującego szerokie widnokręgi.

Panegiryczne i niemal bezkrytyczne jest studyum Wincentego Korotyńskiego, umieszczone w dodatku do wydania dzieł Kaczkowskiego w Warszawie. Zawiera jednak bogate i ciekawe szczegóły biograficzne.

W. Spasowicz w „Dziejach literatury polskiej" (Warszawa 1882), streszcza tylko pracę P. Chmielowskiego z dodatkiem ogólnikowej krytyki szlacheckości w powieściach.
